

Jacek Kardaszewski

Liberalizm gospodarczy

Historia i Polityka nr 6 (13), 9-18

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jacek Kardaszewski*

Coraz więcej osób ze świata polityki twierdzi, że klasyczny liberalizm gospodarczy nie jest możliwy do osiągnięcia, a jedynym rozwiązaniem gospodarczym jest model hybrydowy, łączący elementy gospodarki rynkowej z modelem świadczeń społecznych, interwencjonizmu itp. Czy faktycznie liberalizm, prezentowany chociażby przez Szkołę Austriacką, wyczerpał się, a wolności ekonomiczne muszą być pod dość znacznym nadzorem państwa?

Nie mylmy płaszczyzny faktycznej z normatywną. Tego, co możliwe, z tym, co pożądane. Rzecz nie w tym, czy klasyczny liberalizm gospodarczy jest możliwy do praktycznej realizacji, ale w tym, czy warto dążyć do wprowadzenia go w życie.

Nie istnieje jedna, ważna dla wszystkich, obiektywna odpowiedź na to pytanie, lecz wiele indywidualnych, subiektywnych, uwarunkowanych konstytucją

psychofizyczną tych, którzy ich udzielają oraz ukształtowaną na jej bazie ich osobowością. Dla jednych był to, i w jakiejś formie zawsze będzie, klasyczny liberalizm gospodarczy w rodzaju Szkoły Austriackiej, dla innych interwencjonizm państwowy, bazujący na naukach Keynesa lub podobnych myślicieli, dla jeszcze innych komunitaryzm, komunizm względnie anarchizm.

Wynika stąd pesymistyczny dla wielu (choć nie dla mnie) wniosek, że z racji głębokiego zakorzenienia polityki, w tym polityki społecznej i ekonomicznej, w psychologii, a psychologii w fizjologii, nigdy nie będzie pełnego *consensus* w zakresie rozwiązań politycznych i społeczno-ekonomicznych. Skazani jesteśmy na wieczną walkę — czy to w formie agonistycznej, czy antagonistycznej. Żadna z tych form nie zastąpi raz na zawsze drugiej. Historia poucza, że będą się one — dopóty, dopóki ludzkość nie zginie — zamieniać sobą miejscami. W tym sensie, koniec historii — na szczęście lub nieszczęście — nigdy nie nastąpi. Nadzieje związane z jego nadejściem są całkowicie płonne.

Co więcej, zmiany te można do pewnego stopnia przewidzieć. Można się w nich doszukać swojego rodzaju dialektyki. Dialektyka ta, wbrew temu, co sądzili na ten temat marksiści, nie ma charakteru przede wszystkim ekonomicznego, lecz — w ostatniej instancji — charakter psychologiczny.

Najprościej rzecz ujmując, wynika ona stąd, że — zgodnie z prawem powiększającego się kosztu krańcowego oraz prawem malejącej użyteczności krańcowej — łączna frustracja tych, którym dany system nie odpowiada, w pewnym punkcie przekracza łączną satysfakcję tych, którym on odpowiada. Skutkiem

* **Jacek Kardaszewski**, doktor filozofii, architekt, socjolog, ekonomista, tłumacz. Pełni rolę eksperta Komisji Europejskiej w dziedzinie nauk socjologiczno-ekonomicznych. Autor następujących publikacji: *Narodziny marketingu z ducha ekonomii*, Gdańsk 2004; *Neoliberalizm jest schizofrenią społeczeństwa*, Łódź 2012; *Schizofrenia jest neoliberalizmem umysłu*, Łódź 2012.

tego, ci pierwsi stają się bardziej zdeterminowani w swoim dążeniu do zmiany *status quo*, a ci drudzy mniej zdecydowani w swojej chęci jego utrzymania. Gdy punkt ten zostanie osiągnięty, następuje zmiana paradygmatu. Mamy wtedy do czynienia z rewolucją, choć — jak to często bywało — nie musi to być rewolucja krwawa.

Do takiej sytuacji zbliżamy się, moim zdaniem, obecnie. Paradygmat kapitalistyczny w wersji neoliberalnej wyczerpuje swoje siły w postępie geometrycznym i dlatego wkrótce zostanie zastąpiony paradygmatem kapitalistycznym w wersji interwencjonistycznej.

Liberalizm to nie tylko ekonomia. Czy Pana zdaniem, liberalizmowi ekonomicznemu powinien jednocześnie towarzyszyć „liberalizm obyczajowy”? Czy może jednak przyszłość liberalizmu zrodzi konieczność rozpatrywania go na dwóch płaszczyznach odseparowanych od siebie: obyczajowości i aspektów gospodarczych?

Liberalizm to, zwłaszcza obecnie, pojęcie niesłychanie wieloznaczne. Słusznie rozróżniamy Państwo jego komponenty ekonomiczne i obyczajowe (co prawda, wspomina się również niekiedy o jego komponencie politycznym, jednak, w moim przekonaniu, z wielu przyczyn, staje się on coraz mniej ważny, i to do tego stopnia, że na dzień dzisiejszy nie bardzo wiadomo, na czym właściwie miałby on polegać). Rozróżnienie to jest niezbędne z daleko ważniejszych względów, niż ograniczająca się do akademickich dysput naukowa precyzja.

Rzecz w tym, że owe dwa, nadal „żywe” komponenty liberalizmu nie tylko się od siebie różnią, lecz w znacznej

mierze się sobie przeciwstawiają. Liberalizm ekonomiczny ze swojej istoty łączy się z konserwatyzmem, liberalizm obyczajowy z etatyzmem. Istota ta ma charakter nie tyle logiczny, ile psychologiczny. Z psychologicznego punktu widzenia mamy do czynienia z dwoma — że się tak wyrażę — węzłami: 1) „leseferyzm — Bóg (lub tradycja)” oraz 2) „permissywizm — państwo” (aczkolwiek, co należy tu podkreślić, nie chodzi tu o państwo restrykcyjne w sprawach obyczajowych). Węzły te można opisać zastępując w pierwszym z nich leseferyzm indywidualizmem człowieka ekonomicznego (bądź jednostką rozumianą jako człowiek ekonomiczny), w drugim zaś zastępując permissywizm indywidualizmem osobowości (lub jednostką pojmovaną jako osobowość).

W odniesieniu do pierwszego z wymienionych węzłów, psychologiczny związek pomiędzy jego elementami polega na tym, że *champion* leseferyzmu (czyli liberalizmu ekonomicznego), jakim jest człowiek ekonomiczny (a dokładniej typ człowieka, który maksymalnie zbliża się w swoich charakterologicznych charakterystykach do tego, nie znajdującego odpowiednika w realnej rzeczywistości teoretycznego modelu), z racji ograniczania swoich zainteresowań i aktywności do wąsko pojętego, materialistycznego egoizmu (zwanego niekiedy „egoizmem posesywnym”) — o tyle, o ile, pomimo wszystko pozostaje nadal człowiekiem — potrzebuje dopełnienia swoich pragnień w sferze angażującej jego uczucia wyższe, takiej jednak, która nie wymaga od niego zbyt wielkiej aktywności umysłowej. Cała jego energia znajduje bowiem ujście w nieustannym wysiłku zmierzającym do tego, żeby taniej kupić i drożej sprzedać. Jeśli chodzi o jego po-

zostałe pragnienia, to najchętniej korzysta z rozwiązań gotowych, serwowanych mu przez specjalistów, takich jak księża, pastorzy itp. Jego ambicja oraz związana z nią kreatywność lokuje się w sprawach ziemskich, a nie „niebieskich”. Ponadto rynek, będący jego naturalnym środowiskiem, cechuje się skrajną zmiennością i niepewnością, jak również wynikającą z nich koniecznością ponoszenia nieustannego ryzyka, wymaga zrównoważenia innym, transcendentnym środowiskiem, w którym ryzyko sprowadzone jest do minimum. Będąc, w mniejszym lub większym stopniu, popychadłem mechanizmów rynkowych, które *nota bene* występują ze szczególnym nasileniem w zglobalizowanej na sposób neoliberalny gospodarce, potrzebuje twardego gruntu w wymiarze aksjologicznym i eschatologicznym (różnego rodzaju przykazań moralnych i pewników dotyczących tego, co czeka go po śmierci).

W odniesieniu do drugiego z wymienionych węzłów, związek pomiędzy składającymi się na niego elementami przedstawia się w sposób następujący. Skłaniająca się ku etatyzmowi jednostka, zwana tu przeze mnie „osobowością”, której głównym przedstawicielem jest intelektualista, w przeciwieństwie do skłaniającego się ku leseferyzmowi człowieka ekonomicznego, nie przywiązuje wielkiej wagi do materialnych aspektów swojej egzystencji, a przynajmniej mają one dla niej nieporównywalnie mniejsze znaczenie, niż samorealizacja w takich dziedzinach, jak kultura i polityka. Nie znaczy to oczywiście, że tego rodzaju człowiek całkiem nie dba o zaspokojenie swoich przyziemnych potrzeb. Owszem, pomijając odosobnione przypadki, pragnie, a nawet domaga się, żeby potrzeby te zaspokajane były w sposób, któ-

ry uważa za godny. Znaczy to tylko tyle, że nie w nich przede wszystkim upatruje sensu swojej egzystencji. Zasięg interesujących go spraw i aktywności jest znacznie większy, jeśli wielkość mierzyć ogólnością, niż człowieka ekonomicznego. Swoją energię skupia na ideach, a nie na konkretach, na „niebie”, a nie na „ziemi”, toteż bez najmniejszego uszczerbku dla swojego indywidualizmu (tak jak on go pojmuje), z chęcią pozostawia troskę o swoje utrzymanie innym. Ryzykując egzystencjalnie, żywi awersję do obarczania się dodatkowym, z jego punktu widzenia całkowicie zbędnym i niczemu ważnemu niesłużącym ryzykiem w sprawach „życiowych” — zwłaszcza wtedy, gdy te ostatnie wymagają działań, a nie czynów. Jest w tym bez wątpienia egoistą, jego egoizm nie jest jednak mały, lecz wielki.

Wszystko to powoduje, że często wraca w kompetencje Pana Boga oraz jego przedstawicieli, pod wieloma względami przypominając postać Lucyfera z tradycji judeochrześcijańskiej. Jest zbyt dumny i pewny siebie w kwestiach związanych z moralnością i transcendencją, żeby zadowalać się nieprzetworzonymi przez siebie receptami na cnotliwe życie oraz wizjami tego, co stanie się z nim po śmierci. Pomimo to, również i on potrzebuje twardego gruntu. Nie tylko w stosunku do spraw materialnych, ale także duchowych. Zarówno te pierwsze, jak i te drugie, zapewniają mu takie istności, jak państwo względnie naród. Ich przewaga nad Bogiem, w pełnym tego słowa znaczeniu, wynika dla niego stąd, że — jako śmiertelni bogowie — mają nad nim relatywnie niewielką władzę, tę zwłaszcza, o którą mu najbardziej chodzi, a mianowicie duchową, a ponadto — w znacznie większym zakresie niż Pan Bóg — umoż-

liwiają mu ekstrapolowanie w nie własnych idiosynkrazji.

Podsumowując, a jednocześnie ustosunkowując się wprost do pytania, odseparowanie od siebie aspektów obyczajowych i gospodarczych, wydaje mi się nieuniknione o tyle, o ile przyszłe społeczeństwo ma uwzględniać nie tylko potrzeby i pragnienia ludzi ekonomicznych, ale także intelektualistów. A to wydaje mi się ze wszech miar pożądane.

Na początku lat 90. minionego wieku wielu publicystów było przekonanych o tym, że w Polsce doszło do „rewolucji liberalnej”. Czy po 20 latach od początku transformacji ustrojowo-gospodarczej twierdzenie to nadal jest aktualne?

Nie ulega wątpliwości, że doszło wtedy w Polsce do rewolucji, tyle tylko, że nie nazwałbym jej liberalną, lecz neoliberalną. Neoliberalizm jest pewną formą liberalizmu, która, w największym skrócie, charakteryzuje się trzema ściśle ze sobą zespolonymi cechami:

1) przychodzi po okresie panowania państwa opiekuńczego typu keynesistowskiego, (na co wskazuje jej nazwa);

2) dokonuje się w niej redystrybucja od gorzej do lepiej uposażonych obywateli;

3) rynek traktowany jest w niej jako instytucja doskonała, niemal boska, i z tej racji obejmuje stopniowo niemal wszystkie sfery życia społecznego (zjawisko to znane jest pod nazwą „fundamentalizmu rynkowego”).

Ważne jest, aby zdawać sobie sprawę, że — w przeciwieństwie do tego, co głosi lansowana u nas teoria postkomunizmu — zmiany, jakie nastąpiły w Polsce na początku lat 90., były integralną

częścią zmian ogólnoswiatowych, o dokładnie tym samym, co one charakteryzuje. Okoliczność, że zmiany te dotyczyły u nas nie państwa opiekuńczego, lecz nadopiekuńczego (realnego socjalizmu, w którym prowadzona była polityka centralnego planowania), posiada — według mnie — bardzo małe znaczenie. Tak małe, że nie warto im nawet poświęcać uwagi. Co więcej, przykładanie do niej znaczenia uważam za szkodliwe, przesłania ono bowiem znacznie ważniejsze zjawiska, wynikające, jak już wspomniałem, ze zmian ogólnoswiatowych (aczkolwiek rozumiem polityczne oraz psychologiczne korzyści takiego stawiania sprawy: z punktu widzenia polityków bardzo wygodne jest tłumaczyć systemowe niedogodności tym, co miało miejsce w przeszłości, a z punktu widzenia przedstawicieli nauki, którzy zajmowali się dotąd komunizmem, bardzo trudno przestawić się na analizowanie problemów, w zakresie których nie czują się nazbyt kompetentni). Jeśli w Polsce występują trudności o charakterze politycznym oraz społeczno-gospodarczym, to ich przyczyną nie jest żadna polska specyfika, czy — szerzej — specyfika byłych krajów komunistycznych, lecz sama istota neoliberalizmu, taka sama tam, jak i gdzie indziej.

W czasie, gdy w Polsce dokonywała się transformacja ustrojowa, przebywałem w Kanadzie, gdzie — jak wiadomo — nie znano gospodarki centralnie planowanej. Pomimo to, po powrocie do ojczyzny nie doświadczałem czegoś specyficznego w zakresie transformacji ustrojowej, lecz nieustannego uczucia *déjà vu*. W Polsce i Kanadzie dokonywano takich samych „reform” i w taki sam sposób, w tych samych, identycznych słowach, uzasadniano ich konieczność.

Ani w latach 90., ani obecnie, w Polsce nie jest znany liberalizm w innej wersji niż neoliberalna. Jeśli już chcemy doszukiwać się różnic pomiędzy transformacją na Zachodzie i na Wschodzie, to w tym właśnie fakcie można jej się doszukiwać. A także być może w tym, że na skutek owej nieznamośności, „fundamentalizm rynkowy” w byłym bloku wschodnim jest znacznie bardziej fundamentalistyczny, a jego realizowanie w praktyce powoduje bez porównania mniejsze opory społeczne, niż w niegdysiejszych państwach opiekuńczych typu zachodniego.

Wracając do głównego wątku. Nie dostrzegam znaczących różnic pomiędzy tym, co działo się w Polsce na początku lat 90. i czasami obecnymi. Innymi słowy, jeśli nie było rewolucji liberalnej wtedy, to nie zachodzi ona również i teraz. Jeśli zaś była, to jej skutki trwają w zasadniczo niezmienionej postaci.

Odpowiedź na pytanie, czy ma miejsce ta pierwsza ewentualność, czy ta druga, zależy od sposobu, w jaki pojmujemy liberalizm. Nie stawiając znaku równości między liberalizmem — przez który można przecież rozumieć oferujące autentyczną wolność państwo opiekuńcze — oraz neoliberalizmem, dajemy sobie prawo do twierdzenia, że liberalnej rewolucji nie było i — być może — należy do niej dopiero doprowadzić (zauważmy, że byłaby to rewolucja wyłącznie z naszej perspektywy, natomiast z zachodniego punktu widzenia byłaby to kontrrewolucja). Stawiając go, optujemy za tym, że liberalna rewolucja już była i nie ma w tej materii nic więcej do zrobienia. Pod warunkiem, oczywiście, że pominiemy z ducha maoistowskie, inspirowane biznesowym *lobby* pomysły na dokonanie jakościowego skoku w rozwoju neoliberalizmu, który miałby prowadzić do

ustanowienia — zarówno w naszym kraju, jak i w innych — neoliberalnej wersji niegdysiejszej Kampuczy.

Analitycy szukający wyjścia z współczesnego kryzysu ekonomicznego, w ujęciu modelowym, prezentują przynajmniej dwie koncepcje:

- jedna zakłada w odniesieniu np. do Europy zwiększenie dyscypliny finansowej poszczególnych państw, wprowadzenie mechanizmów nie pozwalających się zadłużać powyżej pewnego progu, a także centralizację europejskich finansów publicznych;
- druga mówi, że walkę z kryzysem należy rozpocząć poprzez ciecia wydatków w sektorze publicznym, walkę z biurokracją, decentralizację decyzji.

Który model jest Panu bliższy i dlaczego?

Jeśli pominąć decentralizację decyzji, którą — nie do końca wiem, dlaczego została dołączona do drugiej koncepcji, to nie dostrzegam pomiędzy nimi różnic. Koncepcja druga jest po prostu rozwinięciem koncepcji pierwszej. Inaczej mówiąc, koncepcja pierwsza i druga to w gruncie rzeczy jedna koncepcja, którą nazwałbym, w tym zakresie, w jakim dotyczy polityki fiskalnej — „kontrakcyjną”, a w tej mierze, w jakiej odnosi się do polityki monetarnej — „restrykcyjną”. Nie są to zresztą moje określenia. Takie koncepcje polityki ekonomicznej — bez względu na to, czy odnoszą się do poszczególnych krajów, czy do struktur ponadnarodowych — w ten właśnie sposób nazywane są w podręcznikach ekonomii.

Kontrakcyjność polityki fiskalnej polega na obniżaniu wydatków budżetowych i podnoszeniu podatków (w neoli-

beralizmie dotyczy to przede wszystkim podatków pośrednich, ponieważ uderzają one głównie w biedniejsze warstwy społeczeństwa); jeśli natomiast chodzi o restrykcyjność polityki monetarnej, to polega ona na podnoszeniu lub utrzymywaniu wysokich stóp procentowych (a także stosowaniu innych instrumentów w sposób, który ma na celu spowolnienie wzrostu, najogólniej mówiąc takich jak operacje na otwartym rynku, zmiany wysokości rezerw obowiązkowych i administracyjne wpływianie na dostępność kredytów udzielanych przez banki komercyjne).

Kiedyś — w kapitalizmie keynesiowskim — stosowano ją w przypadku nadmiernego wzrostu gospodarczego, grożącego nadmiernym wzrostem stopy inflacji (tzw. przegrzania gospodarki). Obecnie, w ramach paradygmatu neoliberalnego, stosuje ją się zawsze, bez względu na okoliczności, to znaczy niezależnie od tego, czy mamy do czynienia ze wzrostem gospodarczym, czy recesją, a nawet depresją. Temu ostatniemu celowi służy z kolei postulat suwerenności banku centralnego oraz zawężenia jego odpowiedzialności do samego tylko kontrolowania inflacji. Tego rodzaju politykę ekonomiczną znamy bardzo dobrze z polskiego podwórka. Poznać ją można po nieustannym powtarzaniu takich fraz jak „oszczędzanie” oraz „naprawa finansów publicznych”. Oznaczają one ograniczanie deficytu budżetowego, najlepiej ustawowe, docelowo zmierzające do zmniejszenia samego budżetu liczonego jako procent PKB i — tym samym — zmniejszenia redystrybucji dochodów na rzecz gorzej uposażonych 99% obywateli. Nie bez znaczenia jest też — zwłaszcza obecnie, w dobie deregulacji światowych finansów — dążenie do redukcji

długu publicznego, który zagraża interesom wierzycieli państwa oraz jego możliwościom pożyczkowym.

Dokonywać się to ma — i na ogół faktycznie się dokonuje — poprzez „cięcie”, to znaczy ograniczanie wydatków publicznych. Na wydatkach państwowych korzysta dolne 99% społeczeństwa, toteż ich ograniczanie jest niepopularne, a zmiany idące w tym kierunku politycznie ryzykowne dla ekipy rządzącej, która tego rodzaju zabiegów się podejmuje. Toteż dyżurną „dziewczynką do bicia” w omawianym kontekście jest zawsze biurokracja. Jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że wielu ludzi nie darzy sympatią biurokratów, mianowicie z tego powodu, że nie odnajduje przyjemności w byciu kontrolowanymi i wypełnianiu formularzy. Warto nadmienić, że „dziewczynka” ta jest bita nie tylko przez polityków, lecz także przez miernoty trudniące się publicystyką, które tanim kosztem pragną podnieść sobie słupki oglądalności (jeśli pracują w telewizji) lub słupki słuchalności (jeśli pracują w radiu).

Wyżej wymienione zabiegi w żargonie neoliberalnym zwane są „reformami”, które — jak się to często powtarza — pomimo że bolesne, są niezbędne.

Otóż, jeśli o mnie chodzi, to nie dostrzegam ich niezbędności. Nie widzę najmniejszego sensu w zmniejszaniu zagregowanego popytu w państwach członkowskich UE wtedy, gdy unijna gospodarka znajduje się w stanie równowagi przy niepełnym zatrudnieniu, a wielkość łącznej produkcji, jaka jest w niej wytwarzana, znajduje się znacznie poniżej poziomu potencjalnego. Taką politykę porównać można do upuszczania krwi choremu na anemię.

W sytuacji, w której wzrost gospodarczy w UE w 2011 roku wyniósł 1,6%,

to znaczy praktycznie go nie było, prawdziwą alternatywą dla polityki kontrakcyjno-restrykcyjnej jest polityka ekspansywno-ekspansywna (tzn. ekspansywna zarówno jako fiskalna, jak i monetarna). Tak jak proponuje to obecna administracja francuska, należy — zamiast oszczędzać — skoncentrować wysiłki na stymulowaniu wzrostu gospodarczego w krajach unijnych, nawet jeśli środkiem wiodącym do tego celu miałyby być pożyczanie przez rządy pieniędzy od banków centralnych, w tym również europejskiego banku centralnego (potocznie zwane „drukowaniem pieniędzy”). Oprócz, a najlepiej zamiast, pakietów stabilizacyjnych, powinny zostać uchwalone pakiety pro wzrostowe. Adekwatnym porównaniem dla takiej polityki jest podawanie choremu kroplówki. Tego właśnie potrzebuje pacjent, jakim na chwilę obecna jest Unia Europejska.

Czy partie liberalne mają szansę realizacji swoich postulatów, chociażby biorąc pod uwagę uwarunkowania międzynarodowe, szczególnie model ekonomiczny promowany przez Unię Europejską?

Jeśli przez liberalizm rozumieć neoliberalizm, a tak jest on obecnie zazwyczaj rozumiany, to partie liberalne mają nie tylko wielkie szanse, lecz wręcz pewność realizacji swoich postulatów, z tego prostego powodu, że polityka Unii Europejskiej jest neoliberalna.

A przynajmniej była do chwili obecnej. Taki też był promowany przez nią model ekonomiczny. Jako że polityka ta w dłuższym okresie prowadzi donikąd, to znaczy do powtarzających się kryzysów budżetowych oraz związanych z nimi, nasilających się sprzeciwów jej

ofiar, którymi są nie tylko poszczególne kraje, takie jak: Grecja, Hiszpania, Portugalia, Włochy, ale także liczne odłamy obywateli właściwie wszystkich należących do Unii Europejskiej państw — zarówno tych, które radzą sobie lepiej, jak i tych, które radzą sobie gorzej — prędzej czy później ulegnie ona zmianie, a szanse partii liberalnych wydatnie zmaleją.

Zamiast nich na czoło wysuną się prawdopodobnie partie, określane w nowomowie neoliberalnej mianem „egzotycznych”: nacjonalistyczne, autentycznie socjalistyczne względnie socjaldemokratyczne (nie mylić z tzw. Trzecią Drogą) oraz łączące nacjonalizm z socjalizmem lub socjaldemokracją. Tak zawsze było i będzie w sytuacjach permanentnych kryzysów, czyli takich, z jakim obecnie mamy do czynienia w Unii Europejskiej.

Nie musi to wcale oznaczać, że rozpadnie się Unia Europejska, a jej miejsce zajmą narodowe partykularyzmy. Wręcz przeciwnie, może się ona wzmocnić, czego jej życzę, jednak nie w postaci dyktatu możliwych, promujących swoje interesy kosztem mniej zasobnych, lecz równoprawnego związku w jednakowym stopniu dumnych, pewnych siebie, dbających przede wszystkim o dobro wszystkich swoich obywateli państw. Tylko wtedy możliwa będzie korzystna dla wszystkich, zarówno narodów, jak i ich członków, współpraca, i tylko pod tym warunkiem rosnąć będzie spójność i autorytet moralny unijnego związku, w jakim pozostają.

Nie widzę też innej drogi do wytworzenia się w przyszłości jednej, europejskiej tożsamości. W przeciwnym razie będziemy mieli do czynienia z niewykonalnym, a nawet potencjalnie niebezpiecznym wytwarzaniem się Europy butnych panów i Europy pokornych sług,

pryncypałów i ich klientów, czy — wyrażając się jeszcze inaczej — z jednej strony transnarodowej elity, z drugiej, transnarodowej podklasy, przekładających się na ich narodowe odpowiedniki.

Jakie partie liberalne mają szansę na zdobycie popularności: umiarkowanie liberalne (liberalnie pragmatyczne) czy też libertariańskie?

To zależy gdzie. Inaczej rzeczy się mają w Grecji, która przoduje w Europie, jeśli chodzi o inwencję w zakresie tworzenia partii o alternatywnych, w stosunku do istniejących, programach politycznych i gospodarczych, a inaczej w Polsce, której obywatele znajdują się w neoliberalnym letargu, śniąc — pod wpływem środków odurzających aplikowanych im przez polityków i media głównego nurtu — o zielonych wyspach i, w związku z tym, popierają pragmatycznie liberalną (pragmatycznie neoliberalną Platformę Obywatelską). Możliwość dojścia do władzy w jakimkolwiek kraju partii libertariańskiej oceniam natomiast na bliską zeru.

Po fali kryzysów gospodarczych, jakie miały miejsce na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, a także utrzymującego się, a nawet rosnącego — w tym również w rzadkich okresach *prosperity* — horrendalnie wysokiego bezrobocia, niskich płac oraz radykalnie pogarszających się warunków zatrudnienia (zjawisk, w odniesieniu, do których Polska zajmuje nieodmiennie czołowe, „zaszczytne” miejsce), jest mało prawdopodobne, że wyborcy zdecydują się na głosowanie na libertarian, proponujących im więcej tego samego, względnie wybijanie klina klinem. Nawet jeśli nie są w pełni świadomi, tak jak np. ja, że libertarianizm jest duszą neoliberalizmu, wyczuwają, że tak

właśnie jest, i nie zamierzają popełniać zbiorowego samobójstwa.

W coraz większym stopniu upowszechnia się świadomość, że wolność — interpretowana na sposób ekonomiczny, nie wyzwala, lecz — paradoksalnie — zniewala. Czas libertariańskiej utopii (bez porównania bardziej utopijnej niż komunistyczne mrzonki), zgodnie z którą lekiem na całe zło tego świata jest likwidacja podatków i biurokracji, przemija, choć — może dlatego właśnie — słychać ze szkolnych ławek łabędzi śpiew libertariańskich *hunwejbínów*.

Taki rozwój wypadków bynajmniej mnie nie cieszy. Nie dlatego, że dobrze życzę libertarianom (jak mógłbym to robić, skoro ich koncepcje ekonomiczne wydają mi się w najwyższym stopniu antypatyczne), lecz dlatego, że ich upadek powinien być, w moim przekonaniu, bardziej spektakularny. Najskuteczniejszym sposobem całkowitego i ostatecznego zdezawuowania każdej utopii, jest konsekwentne wprowadzenie jej w życie. Dlatego z radością powitałbym dyktaturę libertarian, czyli niepodzielne panowanie libertarianu i jego zbrojnego ramienia w postaci \$\$\$. Co prawda, byłaby ona trudna do wytrzymania — zapewne w niemniejszym stopniu niż okupacja hitlerowska i sowiecka — jednak, tak jak i tamte, z pewnością nie trwałaby długo, a ci, którzy by ją przeżyli, zostaliby uwolnieni raz na zawsze od towarzystwa jej wyznawców wraz z roztaczanymi przez nich wizjami. Dopiero wtedy, czułbym się w pełni usatysfakcjonowany.

Czy według Pana w najbliższej przyszłości dojdzie do nowego podziału ideologicznego, który podzieli przestrzeń polityczną na libertarian i komunitarystów?

Nie. Żadna z tych ideologii nie ma wystarczających danych, aby odegrać aż tak znaczącą rolę. Z dwóch powodów. Pierwszym jest ten, że libertarianie dożywają swoich dni, drugim zaś ten, że komunitaryści nie byli i — o czym jestem najzupełniej przekonany — nigdy nie będą liczącą się siłą polityczną.

Źródłem ich słabości jest to, że zarówno jedni, jak i drudzy, proponują obcą cywilizacji Zachodu ideologię kolektywistyczną. Czy chcemy tego, czy nie, jesteśmy dziećmi europejskiej filozofii, w tym Sokratesa, Kartezjusza, Kanta, Stirnera i Nietzschego. Nie uda się tego faktu zanegować bądź o nim zapomnieć.

W przypadku libertarian, kolektywizm wynika z postulowanej przez nich tyranii rynku, która jest bardziej opresyjna, niż niejeden system totalitarny (aczkolwiek warto zdawać sobie sprawę, że w twierdzeniu tym kryje się pewna nieścisłość, ponieważ również i tyranię rynku można określić jako totalitarną, zwłaszcza jeśli spojrzeć na nią przez pryzmat nieodłącznego od niej imperatywu sprzedawania się, w tym również na najbardziej upodlających warunkach).

W przypadku komunitarian, kolektywizm zawiera się w tym, że rozwiązania polityczne oraz społeczno-ekonomiczne, jakie proponują, prowadzą z żelazną konsekwencją do tyranii małych społeczności. Fakt, że tyrania ta ma niewiele wspólnego z rynkiem, nie czyni jej mniejszą niż libertariańska, a jedynie inną. Nie trzeba czytać *Chłopów* Reymonta, ani oglądać filmu *Nasza klasa*, żeby wiedzieć, o co mi chodzi. Każdy uczęszczał kiedyś do szkoły, wielu wyjeżdżało na kolonie letnie lub obozy. Dla bardzo licznych doświadczenia tam zdobyte stały się przyczyną niedających się wymazać traum i wynikającej z nich nienawiści

do ludzi. A ponadto, czym, jak nie komunitariańską wspólnotą, było ateńskie *polis*, którego członkowie wydali wyrok śmierci na Sokratesa, a wielu innych filozofów skazali na wygnanie? Niestety, im więcej komunitaryzmu, tym więcej ostracyzmu.

W Polsce zauważyć można (wcześniej ten proces miał miejsce w Europie Zachodniej) proces wykorzystywania liberalizmu przez ugrupowania odwołujące się w sferze wartości do postulatów lewicowych. W sferze gospodarczej chociażby Ruch Palikota trudno określić jako lewicowy. Natomiast obyczajowo oscyluje wokół tradycji antyklerykalnych, feministycznych oraz ekologizmu. Czy przypadek Ruchu Palikota pokazuje, że tradycyjne partie liberalne, odnoszące się zawsze z pewnym dystansem do demokracji, wybierające wolność ponad równość, straciły rację bytu, a elementy gospodarczego programu liberałów będą przejmowane przez nową lewicę?

Treści zawarte w pytaniu dobrze ilustrują zjawisko schizofrenii politycznej, w której, w dobie neoliberalizmu, żyjemy. Tak jak schizofrenia kliniczna, schizofrenia polityczna polega na pomieszaniu pojęć, a co za tym idzie, również praktyki. Znaczenia pojęć, do których się Państwo odwołujecie, mianowicie liberalizmu, lewicy, demokracji, wolności i równości, są w obecnej sytuacji niejednoznaczne. Co za tym idzie, działania podejmowane w oparciu o nie, przez jeden i ten sam podmiot polityczny, są sprzeczne z innymi jego działaniami, a nierzadko również sprzeczne wewnętrznie. Trafną analogią w stosunku do tego, co w neoli-

beralnej polityce dzieje się w sferze działań zbiorowych, jest przypadek schizofrenika, który przez godzinę nie może się zdecydować, czy ma usiąść na krześle, czy nie siadać. Wciąż od nowa siada na nim i nie siada.

Ruch Palikota próbuje budować na tej schizofrenii, przyjmując ją za dobrą monetę. Ba, za metodę. Nie jest ani liberalny, ani socjalistyczny, ani demokratyczny, ani antydemokratyczny, ani lewicowy, ani prawicowy. Jest czymś, do czego pasują wszystkie te określenia, a jednocześnie czymś, do czego nie pasuje żadne z nich. Przynajmniej nie w pełni. Słowem, jest schizofreniczny.

Najciekawsze wydaje mi się poruszone na końcu zagadnienie, dotyczące tego, czym jest lub ma być nowa lewica. Oczywiście, pojęcie nowej lewicy nie ma na dzień dzisiejszy ustalonego znaczenia. Nie wiadomo jeszcze, czym ona jest i czym miałyby być. Jak na razie istnieją różne pomysły na ten temat.

Moim zdaniem, zamiast — tak jak Ruch Palikota — bazować na schizofrenicznym rozproszeniu w zakresie kierunków swojej aktywności, nowa lewica powinna, tak jak ma to miejsce w paranoi, zachować minimum spójności. Z drugiej strony, powinna otworzyć się na elementy, które przez dłuższy czas były jej obce. Mam tu na myśli nacjonalizm. Natychmiast zastrzegam się jednak, że nacjonalizmu nie pojmuję ani w sposób tradycjonalistyczny, ani etniczny. Co nie znaczy, że jestem przeciwny tradycji w każdym wydaniu oraz że postuluję narodowe wy-

korzenie. Znaczy to tylko tyle, że nie należy, moim zdaniem, być niewolnikiem zarówno tej pierwszej, jak i tej drugiej. Warto poszukiwać w historii elementów, które budują tożsamość lewicową, a także pamiętać, że w ostatecznym rachunku — powtarzam: w ostatecznym rachunku — musi rządzić jedna nacja (tak jak na przykład dzieje się w Stanach Zjednoczonych, gdzie rządzi nacja anglosaska).

Przy okazji wyjaśniam, że nacjonalizm, tak jak ja go rozumiem, jest czym innym niż patriotyzm. Nacjonalizm to czysta idea supremacji, nieodwołująca się do żadnych konkretnych faktów, z których supremacja ta miałyby wynikać. W przeciwieństwie do nacjonalizmu, patriotyzm to nie idea, lecz sama tylko wiązka sentymentów. Inaczej: przywiązanie do otoczenia, w którym wyrosliśmy. Wynika stąd, że w przypadku skrajnym można — nie popadając w sprzeczność — być nacjonalistą, nie będąc patriotą oraz patriotą, nie będąc nacjonalistą. Jeśli o mnie chodzi, to nie przypadkiem posługuję się terminem „nacjonalizm”, a nie terminem „patriotyzm”. Ten pierwszy cenię sobie znacznie bardziej od tego drugiego. Pomimo to, nie twierdzę, że patriotyzm trzeba całkowicie odrzucić w imię nacjonalizmu. Z całą pewnością trzeba go natomiast odrzucić jako element konstytutywny nowej lewicowości. Sentymentalizm może się przydać. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że siła — duchowa i każda inna — nie bierze się z tego rodzaju sentymentalizmu, lecz z idei.

